

STEFAN DOMAGALSKI

Kpr. Stefan Domagalski, 33 lata, podmistrz brukarski, żonaty.

Po ciężkich i strasznych dniach oblężenia Warszawy, po beznadziejnych oczekiwaniach pomocy z jakiegokolwiek strony, nastały chwile ciężkiego i sromotnego borykania się z życiem pod plugawą łapą hitlerowskich gestapowców. Warunki i okoliczności zmusiły mnie do opuszczenia ukochanej Warszawy pod groźbą utraty życia z rąk niemieckich siepaczy. Chciałem znaleźć schronienie, bodaj tymczasowe, w okolicach Białegostoku. Zostawiając żonę i dziecko, poszedłem na los szczęścia. Przeszedłem zieloną granicę, której wcale nie uważałem za tak ważną, jak ona była w rzeczywistości, [o czym dowiedziałem] się później, będąc w mackach NKWD.

6 lutego 1940 r. w nocy, w mróz i zawieje śnieżne, brnąc po pas w śniegu, wpadłem w pułapkę straży granicznej w okolicach Zaręb Kościelnych. Odstawili mnie, skutego w kajdany, do aresztu. Z dawniejszego klasztoru straż graniczna zrobiła więzienie dla aresztowanych Polaków. W celi, w której w najprymitywniejszych warunkach mogłoby się pomieścić zaledwie 20 osób, znalazło się nas tylko 180 ludzi różnego pokroju. Raz dziennie dawano nam kawałek chleba i pół litra cienkiej zupki. Dwa razy w dzień mogliśmy wyjść – pod silną eskortą wycelowanych karabinów – dla załatwienia potrzeb naturalnych poza budynki klasztorne.

Nie mając żadnej możliwości zdobycia odrobiny wody, łapaliśmy po prostu garść śniegu, żeby potem w celi przemyć nim bodaj oczy. Kładł się człowiek pokotem, po prostu jeden na drugiego, na brudnej i mokrej podłodze. W niepranej bieliźnie zagnieździły się wszy. Robactwo nie dało nam żyć, pomimo że dziennie było się po 300–400 sztuk. Okropną gehennę przechodziliśmy w tym areszcie. Po paru tygodniach tego anormalnego życia odesłano nas etapem do więzienia w Brześciu nad Bugiem. Do celi na trzech więźniów wpakowali niedużo, bo tylko 54. Niektórzy byli zmuszeni stać po całych dniach na nogach.

Więźniowie pochodzili z różnych sfer społeczeństwa. Byli tam m.in.: rolnicy, rzemieślnicy, robociarze różnych gałęzi pracy, młodzież szkolna, inżynierowie oraz oficerowie rezerwy. Aresztowani „za granicę”, pracę społeczną i oświatową, posądzeni o przynależność do różnych organizacji polskich, a przeważnie dlatego, że byli po prostu Polakami, o wyższych pojęciach kulturalnych. Między nami życie było zgodne i braterskie. Natomiast ze strony władz więziennych spotykały nas na każdym kroku przykrości i szykany.

Zaczęły się żmudne badania. Działo się to przeważnie w porze nocnej. Kazano nam podpisywać nieprzeczytane przedtem protokoły. Pod presją sędziów śledczych podpisywaliśmy nawet przygotowany czysty papier. W razie najmniejszego oporu następowały rękoczyny. Przy badaniu częste było bicie kolbą rewolweru po głowie i wybijanie zębów. Po śledztwie niektórzy wracali do celi zmasakrowani. Każdego zmuszano do przyznania się do niepopętnionych przestępstw. Odbywały się bardzo częste rewizje nocne. Rozbierano nas do naga w lodowatych pomieszczeniach dla dokładnej, lecz bezowocnej rewizji. Nie obchodziło się przy tym bez bicia i znieważania godności narodowej.

Wyżywienie niżej krytyki. Śniadanie składało się z wody i kawałka chleba. Obiad – pół litra zupki, gotowanej na śmierzdzących łbach rybich. Kolacja – pół zgniłego ogórka i kawałek przemarzniętej cebuli, rzadko kiedy trochę zupy. Opieka lekarska prawie żadna. O ile się ktoś zjawiał w roli jakiegoś lekarza, to tylko dlatego, [by sprawdzić], czy czasami ktoś nie umarł.

Często wieczorem słyszeliśmy jakieś przytłumione strzały w podziemiach więzienia, nad ranem zaś warkot motoru samochodowego. Udało się nieraz spojrzeć oknem, widać było, jak na samochód ładowali pokaźną skrzynię w kształcie trumny oraz dwie łopaty. Można było się domyśleć, co to znaczy. Malała w ten sposób liczba więźniów Polaków.

Zaczęli nas wywozić na Północ lub Syberię. Każdy z wyrokiem po trzy, pięć, osiem lub dziesięć lat przymusowych robót. I za co? W przepełnionych bydłowych wagonach, zaplombowanych, pilnie strzeżonych, do przesady. Kawałek zmarzniętego chleba i bardzo słone śledzie, oto całodzienne nasze wyżywienie w drodze. Potem dla udręki i znęcania się gorszego, nie dawano cały dzień wody do picia. Oprócz tego dokuczano nam w czasie podróży w wyrafinowany sposób. Wieziono Polaków jak największych zbrodniarzy świata. Po kilku tygodniach, w niemożliwych warunkach, dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia.

Moim miejscem udręki i poniewierki były tajgi sybirskie. *Iwdieląg* to obóz zesłanych na roboty przymusowe. Pomieszczenie w barakach o prymitywnej budowie. Ciasnota i brud, nie wyłączając mnóstwa robactwa różnego kalibru. Mróz do 50 stopni, ludzie na pół nago byli wypędzani na roboty, brnąc po pas w śniegu. Normy były bardzo duże, wycieńczeni ludzie mogli wyrobić maksimum 25 proc. wyznaczonej normy. Rano dostawaliśmy trochę zupy o podejrzanym smaku, obiadu nie dawano. Wieczorem kawałek chleba i znów zupa. Bywały i takie wypadki – i to dość częste – że prosto z pracy zamykali do zimnego karceru, o głodzie, do następnego dnia. Ludzie wracali z pracy przemęczeni, głodni, zmarznięci i przemoczeni do pasa. Ubrania nie było gdzie wysuszyć. Następnego dnia z rana ubieraliśmy się w mokre. Po paru minutach ubranie kostniało na mrozie.

Łagiernicy składali się przeważnie z inteligencji. Byli tam: inżynierowie, dyrektorzy fabryk, naczelnicy poczty, nadleśniczowie itd. Z klasy robotniczej dawali sobie lepiej radę w tych warunkach. Inteligencja natomiast załamywała się szybko. Nie mogli pracować fizycznie. Powstał głód i utrata honoru. Dało się widzieć, jak ten lub ów, pan inżynier, zbierał resztki jedzenia na śmietniku kuchennym. Z czego oczywiście korzystali Sowieci, naigrawając się z Polaków. Skazańcy Sowieci, mimo że gnili po więzieniach i cierpieli po łagrach, byli po większej części zapalonymi patriotami komunistycznymi. Uważali, że ten ustrój jest najodpowiedniejszy na świecie.

W pewnych dyskusjach zapytano mnie, czy były w Polsce jakiekolwiek szkoły? Odpowiedź dałem odpowiednią. Na to, co powiedziałem na ten temat, ów gość wyjął tygodnik ilustrowany, czytając mi, jakie stosunki panowały w Polsce w ich wyobraźni: żadnych szkół w Polsce nie było, panował analfabetyzm. Młodzież od lat dziesięciu miano zaprzęgać do pług, bijąc batem. Polacy prawdopodobnie nie jedli cukru, bo go nie było, o ile był, to dostępny tylko dla wyższych sfer społeczeństwa. I wiele innych podobnych rzeczy pisano im o Polsce. Dopiero my, Polacy, przedstawiliśmy im Polskę we właściwym świetle. Oczywiście, drogo to nas czasami kosztowało, ponieważ władze sowieckie brały nas za buntowników, reagując przy tym odpowiednimi dla nich metodami. Co zatem, rano wyprowadzając nas na roboty, głodnych, zziębniętych, kazali orkiestrze – naturalnie lichej – przygrywać marsza. Co za ironia i przygnębienie dla Polaków.

Niektórzy z nas dostawali od rodzin z Polski listy i paczki żywnościowe. Paczki były skrupulatnie rewidowane, cenniejsze rzeczy odbierali. Koledzy dzielili się z nami w miarę możliwości.

Nasze wyczerpanie fizyczne i moralne dochodziło do najwyższych granic. Dopiero wiadomość o zawarciu układu i amnestii Polaków, przyjęliśmy z entuzjazmem. Nastąpiły zwolnienia, stopniowo, grupkami. Ściągali nas z różnych punktów do głównego łagru. Niektórzy z głodu i wycieńczenia padali. Umierali na progu szczęścia. Zaczęła się wędrówka ludu polskiego po Rosji. Walka o zdobycie kawałka chleba. Myślą każdego z nas było dostanie się jak najprędzej do polskiej armii. W takiej drodze byliśmy jeszcze zmuszeni zaczepić się o kołchozy, czekając odpowiednich zarządzeń polskich władz organizacyjnych.

Doczekaliśmy się tej radosnej chwili, że władze nasze powoływały nas w szeregi armii polskiej. Jednakże były to tylko strzępy ludzkie, żywe trupy. Ale po ubraniu munduru polskiego i przepojeni tą myślą, że Polska powstanie i żyć będzie, każdy z nas jakby się odrodził. Nabraliśmy ochoty do pracy nad odbudową wielkiej i niepodległej Polski.